Nr. 38. Sobota dnia 20-go września 1913.

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę dziewiętnastą po Ziel. Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Efezów rozdz. IV, w. 23—28.

Bracia! odnówcie się duchem umysłu waszego i obleczcie się w nowego człowieka, który wedle Boga stworzony jest w sprawiedliwości i w świątobliwości prawdy. A przetoż złożywszy kłamstwo, mówcie każdy prawdę z bliźnim swoim, bo jesteście członkami jeden drugiego. Gniewajcie się, a nie grzeszcie: słońce niechaj nie zapada na rozgniewanie wasze. Nie dawajcie miejsca djabłu.

EWANGELIA

u św. Mateusza rozdział XXII, wiersz 1—14.

W owym czasie mówił Jezus do przedniejszych kapłanów i Faryzeuszów przez przypowieści i rzekł: Podobne się stało królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który sprawił gody małżeńskie synowi swojemu. I posłał sługi swoje wzywać zaproszonych na gody, a nie chcieli przyjść. Znowu posłał insze sługi, mówiąc: Powiedzcie zaproszonym: Oto obiad nagotowałem, woły moje i karmne rzeczy są pobite, a wszystko gotowe, pójdźcie na gody. A oni zaniedbali i odeszli, jeden do wsi swojej, a drugi do kupiectwa swego; a drudzy pojmali sługi jego, i zelżywość im uczyniwszy, pobili. A usłyszawszy król, rozgniewał się, i posławszy wojska swe, wytracił onych mężobójców i miasto spalił. Tedy rzekł służebnikom swoim: Gody są gotowe, lecz zaproszeni nie byli godnymi, przeto idźcie na rozstajne drogi, a którychkolwiek znajdziecie, wezwijcie na gody. I wyszedłszy słudzy jego na drogi, zebrali wszystkich, których znaleźli, złych i dobrych, i napełnione są gody siedzącymi. A wszedłszy król, aby oglądał siedzących, obaczył tam człowieka, nie odzianego szatą godową, i rzekł mu: Przyjacielu! jakoś tu wszedł, nie mając szaty godowej? A on zamilkł. Tedy rzekł król sługom: Związawszy ręce i nogi jego, wrzućcie go w ciemności zewnętrzne, tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. Albowiem wielu jest wezwanych, lecz mało wybranych.

NAUKA.

Sama wiara bez dobrych uczynków nikogo nie zbawi.

„Przyjacielu! jakoś tu wszedł, nie mając szaty godowej?"

Człowiek ów, co nie miał szaty godowej, to chrześcianin, co wiarę ma, ale dobrych uczynków nie ma. Był on przecie na godach, a sala godowa to święty nasz katolicki Kościół. Król sam, Chrystus Jezus, na te gody go wezwał, do Kościoła swego zaprosił. Skoro więc człowiek ów na godach był, skoro do Kościoła należał, to i wiarę on miał, tę wiarę, którą nam Syn Boży z nieba przyniósł na ziemię. Cóż z tego, kiedy dobrych uczynków nie miał, kiedy szaty godowej nie miał. A sama wiara nikogo nie zbawi.

Czemuż to sama wiara nie zbawia? A ja się zapytam, czemuż to sama rola zboża nam nie rodzi? Jeśli jej nie uprawiasz, nie zasiejesz, chwastów nie wyplenisz, nic ci nie zrodzi. Nie prawda? I wiara, jakby rola jaka. Jeśli ta wiara leży odłogiem, taki z niej pożytek, jak i z roli nieuprawionej, co chleba nie daje. A taka wiara nieba nie daje. Potrzeba więc przejechać ją pługiem modlitwy, spowiedzi, Komunii św. Potrzeba zasiać na niej ziarno pokory, cierpliwości, umartwienia; potrzeba jeszcze i chwasty z serca wypleniać, złe zwyciężać skłonności. Wtedy dopiero wiara ku zbawieniu przydatna.

Czemuż to sama wiara nie prowadzi do nieba? A samo słoneczko czemuż nie wystarcza, aby się już zieleniły drzewa, aby łąki, ogrody bujnem się kwieciem pokryły? Niech nam nie tylko we dnie przyświeca słoneczko, ale i w nocy, niech całe lata przyświeca, a na drzewach liści nie ujrzysz, a w ogrodach, na łąkach kwiatuszka nie ujrzysz, jeżeli ich od czasu do czasu deszczyk nie zwilży. Samo więc słońce bez deszczu wcale dla nas nieużyteczne, tak i sama wiara ku zbawieniu nieużyteczna. Niechaj ją deszcz zwilży, deszcz dobrych uczynków, deszcz miłości Boga, miłości bliźniego, a życie nasze zazieleni się wtedy i w kwiat przyozdobi i owoc obfity wyda na żywot wieczny.

Czemuż to sama wiara nie daje zbawienia? Możnaby zapytać tak samo, czemu ptaszyna o jednem skrzydle nie wzleci w powietrze? Choć zerwie się trochę od ziemi, to i spadnie nazad, a pod słońce nie wzleci. Kto ma samą wiarę, jedno tylko ma skrzydło, a taki do Boga, do nieba się nie wzniesie. Niech sobie i drugie skrzydło przyprawi, niech dobre uczynki doda do wiary, a wtedy niebo go nie minie.

Otóż ziemia odłogiem leżąca chleba nie daje, słońce samo bez deszczu w pustkowie wszystko zamienia, o jednem skrzydle ptaszyna nie wzleci ku niebu. Wiedz jednak, że tą ptaszyną o jednem skrzydle, tem słońcem bez deszczu, tą ziemią, odłogiem leżącą, jesteś ty sam, jeżeli tylko wiarę masz, a dobrych uczynków nie masz.

Człowieka o samej wierze bez dobrych uczynków przyrównuje św. Jakób apostoł do trupa. Powiada: „Wiara bez uczynków martwą jest" (Jak. 2, 7), jak i człowiek bez duszy martwy jest. Mówimy o nim, to trup. A taki trup na cóż komu się przyda? chyba robactwu do żeru. I człowiek, co wiarę ma, a dobrych nie ma uczynków, ani Bogu, ani ludziom przydatny. Nie przydatny Bogu, bo nie przynosi mu chwały, i ludziom tak samo on nie przydatny. Taki człowiek utrapieniem tylko dla ludzi złych uczynków. Tylko złemu duchowi jest on przydatny, dość bowiem żeru ma z niego dla siebie.

A niejeden tymczasem całą nadzieję zbawienia swojego na tem opiera, że wiarę ma, że do Kościoła

należy. Ale nadzieja tego człowieka złudna zupełnie. Podobny on całkiem do tego, któremu się śni, że królem jest na wielkiem królestwie. Śni więc, że na wspaniałym zasiada tronie, że pełno koło niego dworzan, że całe królestwo hołd powinny mu składa, że bogatym jest i możnym. Jakżeż to, co mu się śniło, do rzeczywistości nic nie podobne. I ty śnisz teraz, że królestwo Boże w niebie osiągniesz, bo wiarę masz. Choć upijasz się często, choć się na około ze wszystkimi swarzysz, choć krzywdzisz, oszukujesz drugich, śnisz jednak o królestwie niebieskim, zbawienie wieczne sobie obiecujesz. Przebudzisz się jednak i ty, skoro dusza z twego ciała wyjdzie, przebudzisz się i zobaczysz, żeś się tylko oszukiwał niezmiernie. Bo nie królestwo w niebie otrzymasz, ale to, gdzie jest płacz i zgrzytanie zębów.

Jakże ci jednak wbić do głowy, że bez dobrych uczynków nie pójdziesz do nieba, choćbyś we wszystko wierzył najmocniej? Wskążę ci chyba na Pana Jezusa. Przyszedł on z nieba na ziemię, dokąd miał znowu powrócić, dopełniwszy odkupienia naszego. Jakże się jednak tego nieba dosługiwał Pan Jezus? Nie inaczej, jeno przez dobre uczynki. Wiemy o Nim, że pościł, modlił się, że ubogich wspierał, smutnych pocieszał. Wiemy, jak był pokornym, jak cierpliwym, jak kochał nieprzyjaciół nawet. Wiemy jeszcze, jak wiele cierpiał i tak dopiero wszedł do chwały Swojej. Więc Pan Jezus dobrymi uczynkami dobijał się nieba, a ty samą wiarą myślisz tam się dostać.

Jakże ci wbić do głowy, że sama wiara nie zbawia? Pokażę ci świętych męczenników. Wieleż to oni mąk wycierpieli. Palono ich na ogniu, smażono we wrzącym oleju, wybijano im zęby, zdzierano z nich skórę, dawano ich na pożarcie zwierzętom, głodem morzono. A oni, Boga chwaląc i śpiewając Mu, katusze te z największą znosili ochotą. Jeżeli jednak sama wiara może nas zbawić, to po cóż to wszystko? Ale oni wiedzieli dobrze, dlaczego cierpieli, wiedzieli, że niebo nagrodą jest za dobre tylko uczynki.

A zresztą, gdyby nas mogła sama wiara zbawić, po cóż naonczas przykazania Boże, przykazania kościelne? Po cóż wtedy nakazywać dziecku: słuchaj, kochaj, szanuj swoich rodziców? Po co mówić mężowi: bądź wiernym twej żonie, a żonie: bądź wierną twojemu mężowi?

Więc to zaślepienie tylko, powiadać sobie, że już dla samej wiary się zbawisz bez dobrych uczynków. A ty podobno żyjesz w tem zaślepieniu, że sama wiara do nieba cię zaprowadzi. Wszak piekła sobie nie obiecujesz, ale niebo rozkoszne. Za cóż jednak weźmie cię Bóg do nieba? Prawda, do kościoła chodzisz, ale i do karczmy chodzisz. Prawda, pacierze odmawiasz, ale i przeklinasz i złorzeczysz wszystkim dokoła. Prawda, pościsz, ale, gdzie możesz, bliźniego ukrzywdzisz. Jeszcze i to prawda, że się spowiadasz, cóż z tego, kiedy wciąż do tych samych grzechów powracasz. Wierzysz inaczej, a żyjesz inaczej. Wiara u ciebie idzie na prawo, życie zaś na lewo. Na lewo też pójdziesz kiedyś po śmierci mimo wiary twojej. Pójdziesz tam, dokąd poszedł ów człowiek, co nie miał szaty godowej. Król kazał go związać i wrzucić w ciemności zewnętrzne, gdzie jest płacz i zgrzytanie zębów.

Z miasta Betanii pewnego razu szedł Pan Jezus do Jeruzalem. A łaknął On wtedy. „A ujrzawszy z daleka figę, mającą liście, przyszedł, jeśliby snać co na niej nalazł. A przyszedłszy do niej, nic nie nalazł oprócz liścia, bo nie był czas figom. Rzekł więc: niech już więcej na wieki nie je owocu nikt z ciebie“ (Marek II, 12—14). „I uschła zarazem figa“ (Mat. 21, 19). Ależ to wierny twój obraz tą figa. Liście ona miała, a ty wiarę masz, ale owocu nie miała, a ty nie masz dobrych uczynków. Cóż się stało z tą figą? Pan Jezus ją przeklął i uschła natychmiast. Cóż się stanie kiedyś i z tobą?

Przywdziej więc czemprędzej szatę godową na siebie, do wiary przydaj dobre uczynki, a wtedy dopiero zbawienie wieczne sobie zapewnisz. Ten albowiem jedynie wejdzie do nieba, „kto czyni wolę Ojca, który jest w niebiesiech“ (Mat. 7, 21). Amen.

PŁOMYK.

Gdy po wykopaniu ziemniaków wypłacono w końcu strudzonym najmitom należność za cały czas robót polnych pobrali wszyscy na plecy przygotowane już poprzednio węzełki i ruszyli pod wieczór do najbliższej stacyi kolejowej. Przyzostał tylko Wojciech Lipiecki, chłop z pod Kościana, który przypadkiem przyłączył się wraz z kilku innymi do obieżysasów z Królestwa i razem z nimi pracował. Przyzostał on dlatego, że się w dzień podźwigał worem ziemniaków i czuł się jakiś słaby, a powtóre i z tej jeszcze przyczyny, że chciał wstąpić do baraku, w którym ludzie przez cały czas koczowali, i zabrać stamtąd obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i ołowianą lampkę. Sam je był zawiesił, jako chłop pobożny, w kącie nad tapczanem, i oczywiście szkoda mu było świętych rzeczy, a to tembardziej, że Niemcy lutrzy nie umieliby ich uszanować. Więc w tym zamiarze, po otrzymaniu zapłaty w kancelaryi, powlókł się do baraku wzniesionego na skraju przestronnego pola pod lasem, układając sobie w myśli po drodze, że się prześpi, wypocznie, a jutro skończy pakowanie i pociągnie za innymi.

Ale szło mu się jakoś dziwnie niesporo — i czuł, że ma nogi jak słomiane, że krzyże go bolą i że w piersiach ma jakby gwoździe, które kłują go przy każdem poruszeniu. Robiło mu się to gorąco, to zimno. Przed samym barakiem rozebrało już chłopa do szczętu. Tyle tylko, że wszedł: ledwo-ledwo zapalił lampkę przed obrazem i zaraz gruchnął się jak długi na tapczan. Masz-że teraz! Dopieroż zląkł się, bo zrozumiał, że przyszła na niego ciężka choroba, i to tak nagle i z taką siłą, jak latem przychodzi burza.

Odrazu stracił moc w kościach. Chciał się przeżegnać i z trudem wielkim podniósł rękę do czoła następnie zewlókł ją na piersi, ale do lewego ramienia ani rusz! I leżał tak czas jakiś, bezwładny, jak pień. Jednakże, ponieważ przytomność nie opuściła go jeszcze, więc naprzód zdjęła go ogromna tęsknota i żal, że ludzie już odeszli i że został tak sam, jak łazarz na obczyźnie. Bo oto, Bóg raczy wiedzieć, kiedy tu kto zajrzy teraz do tego baraku, a przez ten czas nikt mu i dzbanka z wodą nie poda. Co tu zaś przecie bywało zawsze gwaru pod wieczór — i ludzkich głosów, i rozmów, i narzekań, i sporów, i śmiechów i śpiewania? A teraz cicho. Myszy jeno, które jesienią chronią się z pól przed chłodami do zabudowań, chrobocą wszędy i gryzą zawzięcie drzewo, a blisko wygasłego ogniska, w kupie grochowin świerkają świerszcze polne. Spojrzy Li-

piecki po tapczanach stojących pod ścianami, jakby w nadziei, że może kto czego zapomniał, i wróci, ale nie widać i nie słychać nic. Barak tylko wydaje mu się tak ogromny jak nigdy i w głębi całkiem mroczny, bo tylko ta jedna lampka przed obrazem go oświeca. Chłopu robi się jakoś dziwnie nieswojo i poprostu straszno. Żeby choć jedna ludzka dusza przy nim, — żeby choć jedno polskie słowo ozwało się za ścianą — żeby choć jedno! Nic i nic! — A niechże to Bóg broni chorować w takiej pustce, zaś jeszcze bardziej umierać bez księdza, spowiedzi i sakramentów! Przyszło mu na myśl, że gdyby umarł, to Prusaki pogrzebłyby go na luterskim cmentarzu, a może nawet zakopałyby go gdzie w polu pod borem, jak zdechłe bydlę, albo psa.

Broń-że od tego, Matko Jedyna, i ty Święta Barbaro, patronko dobrej śmierci. Lipieckiemu z niemocy, żałości i utrapienia wezbrały łzy w oczach. Podniósł wzrok ku płomykowi, który świecił pod obrazkiem i jął mówić: „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko" — a modlił się ogromnie gorliwie, bo to jedno dobrze rozumiał, że jeżeli Ona go nie wspomoże, to będzie z nim źle. Ale już podczas modlitwy poczęło mu się tak mieszać w głowie, że nie mógł jej dokończyć. Pierwej brały go ciągoty i dreszcze, a teraz chwyciła go gorątwa taka, jakby mu kto rozpalonych węgli do głowy i do piersi nasypał. I widać, że coraz z nim było gorzej i coraz więcej tracił rozeznanie, gdyż nagle wydało mu się, że tapczany zaczęły chodzić jeden za drugim po izbie, jak gęsi, — i że z krokwi baraku zwiesiły się jakieś długie, do ziemi prawie sięgające powrósła, oblepione rojami czarnych wielkich much. Przymknął oczy, żeby tego nie widzieć, gdyż było w tem coś tak wstrętnego, że aż skóra na nim ścierpła. Tyle zachował jednak jeszcze przytomności, że powiedział sobie, iż mu się to tylko tak przywiduje i że tego naprawdę niema. Jakoż, gdy otworzył znów oczy, tapczany stały po dawnemu pod ścianami, żadne czarne powrósła nie zwieszały się z pułapu i płomyk lampki palił się nad nim spokojnie. Czuł się natomiast okrutnie chory i aż mu dziwno było, że to idzie tak prędko. Dość długo leżał bez ruchu, tylko wargi mu się trzęsły, bo od czasu do czasu brały go dreszcze. Potem jednak oblała go nowa fala żaru i powtórnie pomieszały mu się myśli. A że to w gorączce, tak, jak w jasełkach, widzi się coraz to inne rzeczy, czasem straszne, a czasem miłe, więc przyszło na niego teraz widzenie błogie.

Takie zaś było wyraźne, że już nie starczyło Lipieckiemu rozeznania, żeby sobie powiedzieć, że to jest złuda, ale był pewien, że Matka Boska naprawdę cud uczyniła i kazała go przenieść aniołom w mig do Kościana. Idzie oto szerokim lipowym gościńcem od miasta ku swojej sadybie... Jest jesień i pogoda cudna. Liście, jedne czerwone jak płomień, drugie żółte, spływają cicho z drzew na ziemię, bo niema żadnego wiatru. Na dachach domów złoci się słońce. Lipieckiemu czyni się jakoś rzewliwie na duszy i radość zalewa mu serce. Pamięta, że był chory, ale teraz czuje się zdrów i wraca do dom. Widać już jego chałupinę za wiśniowym sadkiem na prawo ode drogi. Tymczasem przechodzi wedle stawu, po którym, mimo jesiennego chłodu, bobrują z sieciami chłopaki, a na brzegu stoi starowina proboszcz i pilnuje połowu.

Przychodzi do niego chłop, całuje go w rękę, a ksiądz, spojrzawszy mu na twarz, mówi:

— Bójcie się Boga, Lipiecki, a wyście się gdzie tak wymizerowali?

— Dobrodzieju, — odpowiada — choróbsko opadło mnie na Saksach, alem z pomocą Bożą wyzdrowiał.

— A na to ksiądz:

— Oj, — powiada — podziękujcie Matce Boskiej, bo śmierć na obczyźnie, to zatrata nie tylko dla ciała, ale często i dla duszy.

— Prawda, prawda, prawda!

Tu wśród widzeń zasnął na dobre. Ale w godzinę, albo we dwie później, drgnął nagle i zbudził się. Wydało mu się teraz, że przytomność całkiem mu wróciła. Tylko czoło miał zlane zimnym potem i poczęły mu ziębnąć ręce, nogi i nos. Ogarnęło go niewypowiedziane osłabienie. Usłyszał jakby dalekie dzwony, choć nawet myszy przestały chrobotać i była cisza zupełna.

Pomyślał wtedy, że zaczyna konać.

Jeszcze raz chciał się przeżegnać i nie mógł. Dalekie dzwony jęczały żałośniej i żałośniej. Lipiecki patrzył, leżąc na wznak, osłupiałemi oczyma w mrok, który w głębi izby gęstniał, czynił się coraz ciemniejszy i zdawał się toczyć jak chmura ode drzwi, ku środkowi izby.

Jednak po chwili nieruchome już prawie źrenice chłopa rozszerzyły się z trwogi i twarz pobladła mu jak płótno, albowiem w baraku poczęło się dziać coś nadzwyczajnego i złowrogiego zarazem.

Oto ów mrok począł zaczyniać się w sobie, skupiać i tworzyć jakowąś postać: zaokrąglił się z wierzchu, niby w potworny łeb, rozszerzył się niżej w ogromny tułów, a od tego tułowia wyciągnęły się dwie długie, ciemne smugi, jak ręce.

Lipieckiemu włosy stanęły dębem na głowie, a zęby poczęły szczękać, albowiem obaczył teraz wyraźnie, że z całego tego mroku, który zalegał głąb baraku, zrobił się czarny, straszny wielkolud — i że wielkolud ten idzie ku niemu.

Jakieś niepojęte, martwe przerażenie napełniło powietrze. Powiało mrozem, jak od kupy lodu.

A potwór zbliżał się, ale posuwał się tak wolno, jak posuwają się ślepi. Jakoż istotnie w jego ohydnym łbie nie było wcale oczu — i tylko ręce wyciągał coraz dalej przed siebie, macając jednostajnym okropnym ruchem po tapczanach, jak gdyby szukał, gdzie jest ta żywa ludzka dusza, po którą przyszedł.

— Jezusie, Maryo!... — krzyknął Lipiecki.

— Śmierć! śmierć!...

I w tej chwili jeszcze jedna, jasna jak błyskawica myśl rozświeciła mu krzepnący mózg, że to nie polska śmierć przy jasnem ognisku domowem, przy spłakanych twarzach, przy gromnicy i litanii, ale obca, czarna i lodowata pruska śmierć, która dławi człowieka tak niemiłosiernie jak kat i która jest zagubą bez nadziei, i nocą bez światła, i otchłanią bez Boga.

Więc w ostatniej toni i rozpaczy zwrócił jeszcze spojrzenie ku obrazowi i począł wołać gasnącym już i przerywanym przez śmiertelną czkawkę głosem:

— Panienko Najświętsza!!...

— Ratuj!...

— O rety!...

— Ratuj!

Czarne, straszne ręce szukały już na najbliższym tapczanie.

Ale wówczas stało się coś takiego, czego żadne ludzkie słowa dobrze nie wypowiedzą

Płomyk od lampki przed obrazkiem oderwał się nagle i począł płynąć, jak złota pszczoła, przez powietrze ku potworowi.

Lecz rósł z każdą chwilą; w jednem mgnieniu oką z płomyka stał się płomieniem, rozpalił się, rozżarzył, zbielał. Z boków strzeliły mu skrzydła, nad skrzydłami podniosła się głowa, jakby w koronie — i zmieniony w białopiórego ptaka, rzucił się błyskawicą na strasznego Czarnoboga. I ujrzał Lipiecki okropną bitwę światła z ciemnością.

Zmora kręciła się niby wąż, w którym utkwiło żeleźce. W mrocznem cielsku zasyczało coś, jak rozpalona stal w wodzie, rozległo się chrapanie i charczenie. Już Ciemność wije się, rozdziera, rozpada, a orzeł razi ją, zatraca, niszczy, wypada. Zwalił się wreszcie czarny kadłub, runął łeb, rozkruszyły się plugawe ramiona, poczem opadło wszystko i rozwiało się prochem marnym.

Cały barak zalało światło tak jasne, jak słoneczne.

A gdy srebrzysty ptak zmienił się napowrót w płomyk i przyleciał znów złotą pszczółką przed obraz, Lipiecki spał już głębokim snem i w ciszy, jaka zaległa barak, słychać było tylko jego spokojny równy oddech.

W kilka dni później wrócił chłop w dobrem zdrowiu do rodzinnej wioski i przez całą potem zimę — i w mieście i po chałupach — rozpowiadał, co mu się owej nocy przygodziło. Więc niektórzy dziwili się wielkim dziwem, inni zaś myśleli, że to wszystko widział tylko w gorączce, albo we śnie. Jednakże proboszcz, starowina, wierzył głęboko, że to był cud prawdziwy. Pewnej niedzieli powiedział nawet ludziom w kościele z ambony, że płomyk z przed oblicza Bogarodzicielki potrafi się na Jej rozkaz w orła przemienić i że może nieraz jeszcze obroni chłopa polskiego przed niejednym Czarnobogiem i niejedną zmorą śmiertelną.

Henryk Sienkiewicz.

Na Anioł Pański.

Dzwonią dzwony w dolinie,
Głosy echo w dal niesie,
Aż za rzekę, co płynie
Przez dalekie polesie.

„Zdrowaś Marya!“ te dzwony
Głoszą światu radośnie
Proszą niebios ochrony:
Niech obficie plon rośnie.

W polu klęka pachołę
I modli się w pokorze:
„Odmień, Maryo, złą dolę,
Pobłogosław nam Boże“.

TO I OWO.

W JAKI SPOSÓB ODKRYTO NAJBOGATSZE KOPALNIE SREBRA W AMERYCE.

Najmozolniejsze poszukiwania drogocennych kruszców nieraz do żadnego nie doprowadzą rezultatu, kiedy tymczasem prosty wypadek pozwoli natrafić na obfity pokład złota lub srebra. Najbogatsze kopalnie srebra w północnej Ameryce, zwane Silver King Mine, odkrył pewien żołnierz; ten jadąc z depeszą, zauważył w górach znaczną ilość brył błyszczących, ale nie zwrócił na nie uwagi. Wkrótce potem pokazano mu kawałek prawdziwego srebra, na widok którego zawołał: „ależ ja znam całą górę takich kamieni!“ Z kopalni w ten sposób odkrytej wydobyto dotąd kruszcu za kilkanaście milionów dolarów. Sławne kopalnie srebra w pobliżu San Francisco także zostały odkryte przypadkiem przez pasterza, który szukając krowy zbłąkanej w górach, upuścił bat. Zsiadłszy z konia, aby go podnieść, zauważył, że ziemia posiada szczególną barwę i połysk. Zaciekawiło go to i po bliższem rozpatrzeniu się poznał, że to było srebro. Sąsiednie kopalnie św. Patryka odkrył trafem osadnik z Montany, który uderzywszy kijem o skałę zdziwił się, że wydała dźwięk szczególny. Domyślił się, że musi zawierać w sobie pokład kruszcu, zaczął kopać i w trzy miesiące później sprzedał kopalnię za olbrzymią sumę. Szczególnym także wypadkiem odkrytą została kopalnia Senorita w Meksyku. Pewien biedny górnik, któremu całe życie się nie wiodło, zaskoczony w górach przez burzę, schronił się pod drzewo. Czekając aż deszcz przejdzie, dla rozrywki uderzał kilofem w skałę i natrafił niespodzianie na bogatą żyłę srebra. W Meksyku jest bardzo wiele zaginionych kopalni, które kiedyś zapewne się odnajdą. Górników najczęściej wymordowali apaszowie, dziki szczep indyjski, a potem już nikt nie umiał na ślad kruszcu natrafić. Jedna z najbogatszych kopalni srebra w dolinie Santa Cruz, Tumaccacori, która dostarczała miliony, zginęła w ten sposób i nie została dotąd odnalezioną, pomimo że od 70 lat jej szukają.

Łamigłówka sylabowa

ka, po, ul, o, lam, munt, szy, dra, rzym, to, mu, fi, rek, wa, o, pa, ga, ja, la, kuń, kro, cha, bez, y, na, zyg.

Z powyższych sylab ułożyć 14 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko żeglarza, który odkrył Amerykę.

Znaczenie wyrazów: 1. Ptaszek śpiewający. — 2. Stolica Włoch. — 3. Imię męzkie. — 4. Samogłoska. — 5. Część ciała. — 6. Drzewo. — 7. Nazwa ryby. — 8. Owoc. — 9. Zwierzę domowe. — 10. Rzeka wpadająca do morza Bałtyckiego. — 11. Przyrząd oświetlający. — 12. Mieszkanie pszczół. — 13. Owad. — 14. Kwiat mile pachnący.

Rozwiązanie łamigłówki z Gościa nr. 32

1. Samarya. — 2. Trutnie. — 3. Akacya. — 4. Noga. — 5. Izasław. — 6. Śródmieście. — 7. Łagodność. — 8. Anastazya. — 9. Wilanów. — 10. Zły przykład. — 11. Ostrołęka. — 12. Łabędzie. — 13. Karczma. — 14. Indye. — 15. Elizejusz. — 16. Wezuwiusz. — 17. Synai. — 18. Kalwiniści. — 19. Iwan groźny.

STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI.

Dobre rozwiązanie nadesłali: Wilhelm Bromboszcz z Nowejwsi. Albina Badura z Roździenia. A. Donder z Frydenshuty. Alojzy Kozidło z Zabrza. Stanisław Chrząszcz z Dziergowic.